

WRÓŻBY ZŁE I DOBRE

Ponad pół wieku minęło od dnia, gdy Stanisław Ignacy Witkiewicz, rozsierdzony na recenzentów (także na widzów) teatralnych, nie potrafiących zrozumieć i ocenić jak trzeba nowej „jakości artystycznej” jego dramatów, zagroził: „O ile nie powstanie u nas potężna «mafia» nowych autorów i krytyków, walczących wspólnie z falą estetycznego nieuctwa, głupoty i nieuczciwości, teatr nasz musi zginąć.” Jak wiemy, żadna tego rodzaju mafia nigdy u nas nie powstała, a mimo to teatr obronił swoje istnienie i walczy dzielnie nadal nie tylko z wewnętrznymi niebezpieczeństwami natury estetycznej i intelektualnej, ale także — tego Witkacy nie przewidział — z materialną konkurencją kina i telewizji.

Najwymowniejszym zresztą zaprzeczeniem owej złej wróżby, która się na szczęście nie sprawdziła, jest przepelniona co wie-

czór sala teatru Ateneum na przedstawieniu Witkacowego „GYUBALA WAHAZARA”. Czy ta tłumna widownia i jej gorące oklaski przekonałyby autora, że nareszcie został zrozumiany właśnie tak, jak sobie życzył? Obawiam się, że satysfakcję miałyby tylko połowiczną. Był za bardzo pryncypialny w swej teorii estetycznej i nazbyt wzdorczy wobec innych sposobów pojmowania sztuki, by mogły go zadowolić spektakularne sukcesy teatralne jego utworów. Bo chociaż faktem niezaprzeczoną i ze wszęch miar pomyślnym jest pośmiertny triumf jego dramaturgii — mniej oczywiste wydaje się, że sprawią ją to zawarte w niej metafizyczne głębie, mające darzyć inteligentnego śmiertelnika (nieinteligentny w ogóle nie wchodzi w rachubę) laską dostępu do „Tajemnicy Istnienia”. Sekret powodzenia tkwi chyba raczej w magicznej osobowości

twórcy, w jego niepowtarzalnej „jedyności”, a także — czynnik to niezmiernie wagi — w oswojeniu się współczesnego widza z przeróżnymi działaniami artystycznej metaforyki. Być może, iż jest tak, jak chciał Witkacy: „Wychoząc z teatru, człowiek powinien mieć wrażenie, że obudził się z jakiegoś dziwnego snu, w którym najpospolitsze nawet rzeczy miały dziwny, niezgłębiony urok, charakterystyczny dla marzeń sennych, nie dający się z niczym porównać.” Ale by prześnić w teatrze koszmarny sen z Gyubalem Wahazarem w roli bohatera, trzeba było przedtem przeżyć jeszcze bardziej koszmarną, bo nie groteskową, rzeczywistość. Współczesna historia nie poskapiła nam potwierdzenia proroczych wizji Witkiewicza o zmechanizowanym świecie i osobowości ludzkiej miażdżonej przez tyranów, toteż najdziwniejsze nawet pomysły autora, balansujące „na przelęczach nonsensu”, rezonują w nas teraz rozlicznymi reminiscencjami i skojarzeniami. Silniejszy przecież jeszcze od uroku marzeń sennych

okazuje się urok niesamowitej fantazji autora. Niełatwo za nią nadążyć, ale pociąga ona, podnieca i intryguje, ożywia wyobraźnię, zmusza do ekwilibrystyki myślowej, narzucając rozleniwionym umysłom dobroczynną terapię. Trapi nas tu tylko naturalne pragnienie wylawiania jakiegoś sensu z tego morza zamierzonego bezsensu — lecz to świadczy przeciwko nam, dowodząc, że jeszcze nie całkiem dojrzelśmy do przyjęcia oryginalnej „jakości artystycznej” teatru Witkiewicza. A może tę dojrzałość miał tylko on sam?

Przedstawienie „Gyubala Wahazara” w Ateneum uwydatnia wszystkie uroki tej osobliwej sztuki. Inteligentna reżyseria Macieja Prusa oraz ekspresyjna scenografia Krzysztofa Pankiewicza umiejscawiają działania sceniczne w jakimś irrealnym świecie, w którym każda rzecz, każda postać, każde wypowiedziane zdanie nabiera niekonwencjonalnego znaczenia. W doskonałej obsadzie aktorskiej trudno byłoby doprawdy przyznać komukolwiek pierwszeństwo.

Świetny jest zarówno Jerzy Kamas w roli kabotyńskiego tyrana Wahazara, jak i Roman Wilhelmi — demoniczny, jakby żywcem z jakiegoś eleganckiego piekła wyloniony doktor Rypmann, jak wreszcie Andrzej Zaorski — kat Morbidetto w masce zabójczego amanta z jarmarcznej pocztówki. Świetne są również panie: Ewa Milde — łącząca z zadziwiającą równowagą niewinność i wyuzdanie Świntusi Macabrescu, Anna Ciepiewska — groteskowa Donna Scabrosa oraz Krystyna Borowicz — bardzo śmieszna Donna Lubrica Terramon. I jeszcze: Halina Kossobudzka, Barbara Rachwałska, Anna Jarczówna, Tadeusz Borowski, Lech Ordon, Jan Kociniak, Bohdan Ejmont, Marian Rułka oraz kilka innych osób, uzupełniających kolekcję figur o wyszukanych nazwiskach i niezwykłych obyczajach.

☆

Na wszystkie dotychczasowe przedstawienia w Teatrze Małym bilety są z miejsca rozchwytywane. To jeszcze jeden dowód przeciw złej wróżbie Witkiewicza — a zarazem

świadczenie, że potrzeba teatru ma dobrze zabezpieczony zakątek w psychice współczesnego człowieka. Co prawda, sporą część frekwencji wypadłoby zapisać na rzecz ciekawości, jaką rozbudza każda nowość — zwłaszcza, gdy nowość jest tak atrakcyjna i ładna, jak ta sala teatralna w podziemiach kina „Relaks”. Jednak najsilniejszym magnesem jest niewątpliwie ciekawość, jakim repertuarem i jakimi formami inscenizacyjnymi zamierza Adam Hanuszkiewicz wypełnić swój nowy teatr.

Wystawiona na inaugurację „ANTYAGONA” Sofoklesa (unowocześniony przekład Stanisława Hebanowskiego) — w reżyserii Hanuszkiewicza i w wykonaniu studentów PWST pod przewodnictwem Kreona — Hanuszkiewicza i Tejrezjasza — Kazimierza Opalińskiego — była zamysłem śmiałym i ambitnym, mocno jednak w realizacji kontrowersyjnym. Rozegranie klasycznego arcydzieła w duchu młodzieżowych kontestacji i w rytmie muzyki jazzowej (skomponowanej przez Macieja Maleckiego) znakomicie trafia w gust młodych widzów, natomiast starszym, przywiązany do powagi i idei „Antygony”, smutno się robi na sercu, gdy wieloznaczność czcigodnego dzieła rozmięka się na drobne w krzyku i nawałnie skocznych dźwięków. Hanuszkiewicz nie przejmując się zbyt teatralnymi zmartwieniami starszych widzów, obchodzi go przede wszystkim młody i dla niego chce tworzyć teatr żywy, teatr pociągający. Może ma rację, tylko — czy przystosowując kształt sceniczny do aktualnych upodobań młodzieży, nie wpływa w jakiejś mierze na utrwalanie się smaku do efektywności zewnętrznej, do wrażeń naskórkowych?

Cokolwiek by się bowiem myślało o koncepcji inscenizacyjnej „Antygony”, trzeba stwierdzić, że spektakl jest bardzo efektywny i znakomicie wyreżyserowany. Przewadze talentów i techniki Hanuszkiewicza i Opalińskiego, młodzież aktorska przeciwstawia świeżość, zapał i przejęcie.

Druga premiera Teatru Małego jest wspaniałym koncertem wielkiej sztuki aktorskiej Ireny Eichlerówny. Szkoda, że okazją do z dawna wyczekiwanego występu artystki stała się dość mierna pod względem artystycznym komedia współczesnego pisarza węgierskiego, Istvana Orkény — „ZABAWA W KOTY” (przekład Camilli Mondral) — ale dobre i to, skoro nie mogło być lepiej. Największym atutem tego sympatycznego zresztą utworu jest, iż pozwala on bohaterce wieczoru tylko na krótkie chwile

schodzić ze sceny. Wielbiciele, a jest ich legion, mogą się więc do syta nacieszyć jej kunsztem komediowym, dowcipem, nieustraszonym ryzykownictwem w ośmieszaniu samej siebie, no i głosem, który potrafi wyrazić wszystko. Eichlerówna, jak to już nieraz bywało, wzbogaca grany tekst własną osobowością; tym razem przydaje mu zachwycającą barwę subtelnej autoironii.

Obok Eichlerówny — z przyjemnością oglądamy od lat nie widzianą Karolinę Lubieńską (co za dykcja!) oraz trójkę bardzo zabawnych postaci, stworzonych przez Małgorzatę Lorentowicz, Janinę Nowicką i Andrzeja Boguckiego. W niewielkim epizodzie przypomina się Teofila Koronkiewicz. Reżyserujący przedstawienie Jan Machulski przydzielił sobie i Grażynie Staniszewskiej najmniej wdzięczne role reprezentantów młodego pokolenia. Scenografię projektowała Liliana Jankowska.

W trzeciej premierze na afiszu Teatru Małego znowu pojawiło się wielkie nazwisko literackie: James Joyce. „WYGNANCY” (przekład Zofii i Lucjana Porembskich) bardzo daleko odbiegają od „Ulissesa”, znacznie bliżej im do wierszy irlandzkiego pisarza. Jest to raczej liryk rozpisany na trzy głosy (czwarta osoba dramatu nie ma prawie nic do powiedzenia), aniżeli pełnospektaklowy utwór teatralny. Toteż reżyserujący przedstawienie Andrzej Łapicki musiał się wiele natrudzić, by wypełnić czas własną pomysłowością i działaniami aktorskimi. Skorzystał przede wszystkim z tak rzadko dziś w teatrze stosowanego środka ekspresji, jakim jest milczenie. Ale okazało się — może to wina dość wątego tekstu? — że w tym wnętrzu teatralnym, które pozornie sprzyja najprzeróżniejszym formom inscenizacyjnym, milczenie ma niedobry rezonans. Wyczekiwanie na słowo monumentalizuje jego znaczenie i kiedy wreszcie słowo to pada i brzmi błaho — widz odczuwa zawód. Wydaje mi się, że poetycki utwór Joyce’a czułby się lepiej w przestrzeni zamkniętej.

Czarująca jest Zofia Kucówna, piękny — Andrzej Łapicki, interesujący, nerwowy — Zdzisław Wardajn, dekoracyjna — Joanna Sobieska. Xymena Zaniewska przystroiła panie w wytworne srebrzyste lamy, panów zaś w aksamity. I to jest jedyny akcent scenograficzny.

Trzy dotychczasowe premiery w Teatrze Małym nie pozwalają się domyślać, w jakim kierunku pobiegnie linia repertuarowa. Oby był to kierunek najpomyślniejszy!

HALINA PRZEWOSKA